

Nowe spojrzenie na cele **rozwoju**

Grzegorz W. Kołodko

Ekonomię jako piękną naukę plasuję gdzieś między jedną królową, ścisłą matematyką, a drugą, humanistyczną filozofią. Ekonomia to taka nauka, która wpięrowpotrafi wyjaśnić, od czego zależy bieg procesów i kształtowanie się zjawisk społeczno-gospodarczych, i ujmuje je w obiektywne prawa rządzące procesami reprodukcji, a potem proponuje co zrobić, aby było lepiej, przyjmując, że zawsze funkcjonują rozmaite podmioty gospodarcze z określonymi, często sprzecznymi celami wynikającymi z wartości, które ich gospodarowaniu przyświecają.

Odpowiedź na pytanie co się będzie działo w przyszłości, jakie prawa będą rządzić procesem reprodukcji makrospołecznej, wymaga teorii. Trzeba zinterpretować współczesność i rzeczywistość. By zaś do tego dojść, należy zagłębić się w przeszłość. Jest to bowiem kopalnia wiedzy o przyszłości, a to dlatego, że częstokroć wyraźniej widać przyszłość poprzez przeszłość. Stosując koincydencji teorię rozwoju, która podkreśla specyficzny zbieg rozmaitych czynników, można wyjaśnić wiele procesów. Taka fascynująca wędrówka w czasie i przestrzeni ułatwia odpowiedź na pytanie, dlaczego jest tak, jak jest, rozumiejąc przez to „jak jest” wszechstronnie stan gospodarki światowej – od strony kulturowej, społecznej, ekonomicznej i środowiska naturalnego, od strony strukturalnej i instytucjonalnej.

Bardzo krótka historia dziejów

Rozprawiając o rozwoju, częstokroć trzeba pisać o kryzysach, stagnacji czy wręcz o cofaniu się. Gdy przyjrzeć się biegowi dziejów, to większość z tego, co już za nami, to okresy zastoju albo nawet regresu.

Współczesna gospodarka światowa wytwarza produkt brutto o wartości około 66 bilionów USD (licząc według parytetu siły nabywczej, PSN). Od 2007 roku Unia Europejska pod względem wartości produkcji, wynoszącej około 14,4 biliona USD, jest już na pierwszym miejscu, wytwarzając 21,9 proc. produktu całej ludzkości. Zaraz za nią są Stany Zjednoczone – z PKB w wysokości 13,9 bilionów USD i 21,1 proc. produkcji całego globu. Ale już coraz bliżej za nimi są Chińczycy, których oddech czują na karku tak Europejczycy, jak i Amerykanie. I tak już w dającej przewidzieć się przyszłości będzie, gdyż to są i będą trzy największe podmioty w gospodarce światowej. Chiny już mają PKB na poziomie 10 bilionów USD, co stanowiło w roku 2007 około 15,4 proc. światowej produkcji.

Fascynujące jest to, że Chiny już kiedyś wytwarzały relatywnie biorąc dwakroć więcej. Na początku XIX wieku wkład Chin do światowej produkcji sięgał jednej trzeciej, wynosił bowiem aż 32 proc. Ale dwa pokolenia temu – w połowie lat 50. – zaledwie 5 proc. Za kilka lat – w następnej dekadzie

– znowu przekroczy 20 proc. Od razu wyłania się pytanie: czy może znowu za kilkadziesiąt albo kilkaset lat spadnie do kilku procent? A jeśli tak, to od czego tym razem będzie to zależało?

Na tym tle Polska, dla nas najważniejsze miejsce na Ziemi, to kraj „po przecinku”. Wytwarzamy bowiem wciąż mniej niż 1 procent światowej produkcji, a handlując na scenie międzynarodowej obracamy relatywnie jeszcze mniejszą częścią światowego produktu. PKB na mieszkańca Polski w roku 2008 sięgał 17 tys. USD (PSN), to jest o dwie trzecie więcej niż przeciętnie na świecie. Jest to zaledwie połowa poziomu bogatej części Unii Europejskiej, albo niewiele ponad jedną trzecią średniego dochodu mieszkańców Ameryki Północnej.

Olbrzymie zróżnicowanie dochodów – i jeszcze większe majątków, o czym trzeba pamiętać – wzięło się stąd, że przez większość dziejów mieliśmy do czynienia z dreptaniem w miejscu, a przyspieszenie rozwoju jest na tle dziejów epizodem krótkotrwałym i dotyczącym tylko części globu.

Jeszcze nie tak dawno temu mieszkańców Ziemi było mało, i mało też potrafili wytworzyć. Istniejąc od jakichś 3 milionów lat człowiek świadomie gospodaruje – a wymaga to co najmniej wymiany i akumulacji – około 50 tysięcy lat. Przez 40 z nich działo się niewiele. Potem zaczyna się ruch, rzecz by można – prawdziwa wędrówka. Powstały i upadały wspaniałe cywilizacje, co zawsze miało także swoje aspekty ekonomiczne. W roku 1000 ludzi było około 310 milionów i wytwarzali na głowę tyle samo, co tysiąc lat wcześniej, kiedy to w roku 1 nowej ery było nas niewiele mniej, bo jakieś 300 milionów. Produkcja, według najlepszych szacunków historyków gospodarczych, w roku narodzin Chrystusa wynosiła około 700 USD (licząc PSN, w warunkach porównywalnych, a więc w tych pieniądzach, w których obecnie wynosi ona około 10 tysięcy dolarów na głowę), a całe millennium później raptem dolarów 710. To tyle ile dzisiaj w skrajnie biednych

krajach, jak Etiopia czy Niger. Tak tysiąc, jak i dwa tysiące lat temu ludzkość liczyła zaledwie tyle, ile obecnie Stany Zjednoczone, ale wytwarzała, mierząc PKB, zaledwie 1,5 proc. tego co współcześni Amerykanie.

Potem, przez kolejne wieki, stosunkowo niewiele się działo. Z tą jednak zasadniczą różnicą w porównaniu z okresami wcześniejszymi, że potrafiono wytwarzać w sumie więcej i, konsekwentnie, utrzymać więcej ludzi. I chociaż produkcja na mieszkańca nadal rosła bardzo wolno, w tempie niezauważalnym dla przemijających pokoleń, rosnąć zaczęła liczba mieszkańców Ziemi, i około 200 lat temu, w roku 1800, był nas już cały miliard.

To wtedy Thomas Malthus, brytyjski ekonomista, pomylił się prognozując wzrost podaży żywności w tempie co najwyżej postępu arytmetycznego, podczas gdy liczba ludności miała zwiększać się według funkcji geometrycznej. Pomylił się w dwójnasób, gdyż z jednej strony udało się odczuwalnie zwiększyć produkcję żywności, głównie wskutek „zielonej rewolucji”, z drugiej zaś z czasem zapanowano nad tempem wzrostu ludności, które bynajmniej nie ma już kształtu krzywej rosnącej według postępu geometrycznego. Ale przez kilka pokoleń po Malthusie – a w niektórych rejonach świata, zwłaszcza w subsaharyjskiej Afryce nadal – jego hipoteza znajduje częściowe potwierdzenie. Ludzie głodują, bo ich liczba jest duża i nadal się szybko zwiększa, podczas gdy podaż żywności jest ograniczona i rośnie wolno albo wcale. Jednakże jeden z największych problemów, jaki stał przed ludzkością, wydaje się być – przynajmniej po części i na większości obszarów świata – rozwiązany. Obniżenie stopy przyrostu naturalnego do 1,16 proc. to wielki sukces ludzkości. W skali całego globu za ostatniego pokolenia udało się zapanować nad niebezpieczeństwem niekontrolowanej eksplozji demograficznej. I tak o ile w roku 1980 przeciętnie 10 kobiet rodziło 46 dzieci, to teraz tylko 24.

W dużym stopniu do tego przyczyniły się Chiny. We wszystkich bez mała globalnych

analizach muszą one być przywoływane ze względu na ogromne zasoby ludnościowe. To procesy demograficzne w Chinach, a nie, dajmy na to, w Algierii, współdecydują o obliczu świata. W 1970 roku statystyczna Chinka rodziła 5,4 dziecka, a teraz tylko 2,1. Tyle wynosi stopa reprodukcji prostej. Równie wielkie znaczenie ma postęp odnotowany w Indiach, gdzie w tym samym czasie wskaźnik rozrodności został zredukowany z 6,0 do 3,1. „Został zredukowany”, gdyż w obu przypadkach zrobiła to długofalowa i świadoma polityka, a nie doraźny i żywiołowy rynek. Dzięki temu wyłania się przed ludzkością szansa – wciąż tylko szansa, bo bynajmniej jeszcze nie gwarancja – że Ziemia potrafi wszystkich swoich mieszkańców wyżywić. Jest nas obecnie 20 razy więcej niż millennium temu, a zarazem ponad dwa razy więcej niż 50 lat temu. Co więcej, już jest to zdeterminowane inercją procesu demograficznego, że będzie nas w roku 2050 prawie 9 miliardów. Wtedy też najbardziej ludnym krajem świata będą Indie, a nie Chiny, bo podczas dwu pokoleń różnica pomiędzy stopą rozrodności zrobi swoje.

Na przestrzeni dziejów najwięcej w sferze produkcji i standardów życia zmieniło się jakby w okamgnieniu, raptem za życia kilku zaledwie pokoleń. Co takiego stało się niespełna 200 lat temu, że pewne części świata wsiadły do pociągu postępu, odjechały do przodu i się wzbogaciły? Co spowodowało, że jeszcze inne narody i grupy ludności dały się zepchnąć na pobocze, i nadal tkwią na marginesie wykluczenia?

Co ciekawe, **jak się przyłoży miarkę długiego okresu, to wyrwanie się nielicznych do przodu jest efektem bardzo wolnego tempa wzrostu, ale za to odnotowanym przez bardzo długo.** To, że Ameryka Północna jest obecnie tak bogata, podobnie jak Europa Zachodnia i jej kulturowi potomkowie na antypodach, w Australii i Nowej Zelandii, czy też skutek reform Meiji i następnych okresów także Japonia, jest efektem tego, iż przez 180 lat narody

tych państw i regionów kroczyły do przodu w tempie średniego rocznego przyrostu PKB *per capita* zaledwie 1,2 procent! Dzisiaj powiedzielibyśmy, że to stagnacja. Widać tu potęgę procentu składanego (to arytmetyka), oraz znaczenie długiego okresu (to już ekonomia rozwoju). Jak się kroczy dostatecznie długo nawet stosunkowo wolno, to daleko można zawędrować. I to spowodowało, że obecnie jakiś region świata bądź naród jest bogaty, podczas gdy inny pozostał na poziomie średnim albo jest wciąż biedny. A przecież dzisiaj bez mała wszyscy oczekują dużo większego tempa wzrostu niż 1,2 proc. Z takim tempem to przegrywa się wybory, a nie wygrywa przyszłość.

Gdy tak raz jeszcze spojrzeć wstecz, na poprzednie millennium, to przez pierwsze pięć wieków przeciętne tempo wzrostu światowej produkcji wynosiło śladowe 0,05 procent. Niewiele lepiej było przez następne 320 lat, bo wskaźnik ten wyniósł tylko 0,07 procent. Totalna stagnacja! Dopiero ostatnie 180-190 lat to wyraźniejszy ruch do przodu, ale nie wszędzie i nie zawsze. Co nader ciekawe, tysiąc lat temu nie było żadnych przesłanek, że pięćset lat później to Europa właśnie stanie się centrum światowej gospodarki i kultury. Wtedy jeszcze równie dobrze mogłaby to być Ameryka później nazwaną Południową, albo Bliski Wschód, nie mówiąc już o Indiach i Chinach. Ba, mogłaby to nawet być Afryka. Po pięciu wiekach oblicze świata było już inne, zdominowane przez Europę. O ile pięćset lat temu produkcja na mieszkańca Afryki, w co trudno dziś uwierzyć, była wyższa niż Ameryki Północnej, to dzisiaj w tym drugim przypadku jest ona jakieś 20 razy większa niż w tym pierwszym.

To wszystko jest nie tylko intrygujące z punktu widzenia chęci zaspokojenia ciekawości intelektualnej, i uzyskania zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jak do tego doszło. Dużo ciekawsze jest pytanie, co z tego wynika dla przyszłości, bo przecież ta fascynująca wędrówka w czasie i przestrzeni trwa. Od razu trzeba poczynić zastrzeżenie,

że ekstrapolacja tych wcześniejszych trendów byłaby merytorycznie i metodologicznie błędna. To, że tak było, bynajmniej nie dowodzi tego, iż podobnie będzie. Wzrost gospodarczy i rozwój społeczny nie są procesami linearnymi, i ekstrapolowanie trendów prowadzić musi na manowce.

Oczywiście, w krótkim historycznie biorąc okresie występuje pewna inercja toczących się procesów, są one już zdeterminowane określonym splotem okoliczności, co wyjaśniam poprzez koincydencji teorii rozwoju. Nedorzecznoscą wszakże byłoby zakładać dzisiaj, że Afryka, w dającej się przewidzieć przyszłości, wyprzedzi w poziomie rozwoju Amerykę Północną. Ale jeszcze większą niedorzecznością byłoby zakładać, że to nigdy w przyszłości nie okaże się możliwe, bo to możliwe kiedyś stać się może. **Z analizy mechanizmów dziejowych bowiem wynioskować trzeba, że procesy wzrostu ilościowego i rozwoju jakościowego zawsze uwarunkowane były zbiegiem określonych zjawisk, i nawarstwianiem się konkretnych procesów. Wielkie przełomy – zwłaszcza przyspieszenia – brały się właśnie z koincydencji i nawarstwiania się.** Rozwój „na zakrętach” dziejów nie miał symptomów ani ewolucyjnych, ani rewolucyjnych – acz lekceważenie znaczenia ewolucji i rewolucji w rozwoju byłoby kardynalnym błędem – lecz znamiona przemian kaskadowych. Tak jest również współcześnie, co trzeba dostrzec, zrozumieć, objaśnić i – nade wszystko – inteligentnie wykorzystać. Żyjemy w czasie kaskadowych zmian.

Wystarczy dobrze wokół się rozejrzeć by zauważyć, jak wiele z tego co nas otacza, jest funkcją procesów, które mogły nie zajść. Mogło tego wszystkiego nie być, a zarazem mogło zaistnieć coś, co w końcu nie powstało. Mogło nie być Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a mogły powstać Stany Zjednoczone Ameryki Południowej. Mógł nadal istnieć Związek Radziecki, a mogła nie powstać Unia Europejska. Te spostrzeżenia mają istotne konsekwencje dla przy-

szłości. Otóż przyszłość też kiedyś będzie przeszłością. Z punktu widzenia następných pokoleń przeszłość będzie już *ex post* określona, podczas gdy dla nas jest to wciąż rzeczywistość *ex ante*. Następne pokolenia będą patrzyły na to co za nimi, już jako na fakty, natomiast teraz te fakty wciąż jeszcze mogą, ale nie muszą zaistnieć.

Zintegrowany Indeks Pomyślności, ZIP

Racjonalizacja rozwoju społeczno-gospodarczego w przyszłości wymaga nowoczesnej interpretacji tego złożonego procesu oraz zdefiniowania jego celu. Coraz bardziej trzeba iść – i pójdziemy, także w ekonomii – w kierunku „być”, a coraz mniej „mieć”. Relatywna waga zmian ilościowych, a zwłaszcza przyrostu wartości produkcji mierzonej w klasycznych kategoriach PKB, będzie coraz mniejsza. W to miejsce proponuję szerszą, zasadniczo bardziej adekwatną dla istoty sprawy miarę postępu społeczno-gospodarczego – zintegrowany indeks pomyślności, ZIP.

Na razie przedstawiam koncepcję ogólną. Dalsze, interdyscyplinarne prace wymagają operacjonalizacji tej miary, olbrzymich i skomplikowanych badań – nie tylko ekonomicznych, ale także socjologicznych i psychologicznych – oraz stworzenia właściwej bazy statystycznej. Potrzebne są także sondaże ankietowe, zorganizowane systemowo, w oparciu o perfekcyjne metody socjologiczne. Konieczne jest tworzenie szeregów czasowych, które umożliwią porównywanie w czasie i przestrzeni – obserwowanie zmian w odniesieniu do tych samych populacji w różnych okresach, oraz porównywanie sytuacji występującej w tym samym czasie pomiędzy różnymi grupami społecznymi i krajami.

To wszystko jest możliwe, to wszystko jest trudne, to wszystko będzie się dziać, to wszystko wymaga czasu, nakładów, a przede wszystkim przekonania, że tędy droga. Jest to zasadnicze poszerzenie tego, co za-

proponował na początku lat 90. Amartya Sen, i na czym opiera się ONZ w porównaniach kapitału ludzkiego. Jego indeks, znany jako Human Development Index, HDI, wyliczany jest jako zagregowana wielkość uwzględniająca trzy równoważne elementy, każdy ważący w syntetycznym wskaźniku po jednej trzeciej:

- poziom produkcji (mierzony wielkością PKB na mieszkańca);
- stan zdrowia (w uproszczony sposób mierzony długowiecznością, czyli średnią długością życia);
- stan oświaty (mierzony umiejętnością czytania i pisania osób w wieku ponad 15 lat oraz stopniem skolaryzacji).

W ZIP proponuję uwzględnić ponadto wycenę czasu wolnego, którego znaczenia pomijanie jest wielkim uchybieniem w całym rozumowaniu ekonomicznym. Przy tej właśnie sposobności widać, jak dalece zwodnicze i mylące może być wnioskowanie ekonomiczne. Weźmy oto taki przykład. Zachodni Europejczycy w ciągu ostatniego pokolenia zdecydowanie preferowali przyrost zasobów czasu wolnego nad wzrostem dochodów. I to jest podstawową przyczyną różnic pomiędzy obecnymi przecięt-

nymi dochodami po obu stronach Atlantyku, a nie to co się najczęściej – zwłaszcza w błędnych interpretacjach neoliberalnych – sugeruje, że jakoby Amerykanie są bezwzględnie bardziej konkurencyjni, cechują się zawsze lepszą jakością zarządzania, mają wyższą efektywność kapitału i wydajność pracy. To jest nieprawda. Otóż w roku 1970 przeciętny Amerykanin pracował około 1900 godzin, a zachodni Europejczyk około 1850. Można powiedzieć – nieistotna to różnica. Przez blisko 40 lat trwał nieustanny postęp w sferze efektywności tu i tam, biorąc się z postępu technicznego i poprawy jakości kapitału ludzkiego. Towarzyszący temu wzrost wydajności pracy zawsze przynosi pytanie, jak dzielić efekty wzrostu wydajności pracy na przyrost zasobów czasu wolnego i przyrost dochodów?

Szef w firmie może zaproponować pracownikowi podwyżkę o 10 procent, ale tenże pracownik może woleć wychodzić z pracy codziennie około godziny 17, a nie po 18, i mieć więcej czasu na wydawanie dotychczasowego dochodu. To jest sprawa wartości i preferencji indywidualnych i grupowych. W Ameryce Północnej trudno znaleźć kogoś, kto choć raz w życiu był na całomie-



sięcznych wakacjach, a w Europie trudno znaleźć kogoś, kto by na takich wakacjach przynajmniej co parę lat nie był. Europejczyk wcześniej wychodzi z pracy i szybciej przechodzi na emerytury. Pracuje się mniej, to i mniej się zarabia, ale to nie to samo, co niższa wydajność, efektywność, konkurencyjność. I tak obecnie w Europie Zachodniej pracuje się przeciętnie tylko około 1450 do 1600 godzin rocznie, podczas gdy w USA – bogatszych w pieniądze, ale uboższych w czas wolny – aż około 1850 godzin.

Zróżnicowanie dochodów jest tutaj bardziej kwestią wartości niż efektywności. Im z kolei podporządkowane są instytucje i służby polityka, obracamy się bowiem w procesach rozwoju nieustannie w ramach triady: wartości – instytucje – polityka. Możemy wchodzić w szczegóły, dyskutować o jakości zarządzania i profesjonalizmie kadry, o rzeczywistej efektywności, o wydajności siły roboczej. Oczywiście, występują tu różnice, niekiedy wciąż znaczne. Są wszakże i takie miejsca, gdzie to Europa daje sobie lepiej radę niż Ameryka Północna, wykazując się wyższą efektywnością kapitału i wydajnością pracy. Generalnie zaś zróżnicowanie dochodów – bo zaiste Amerykanie mają PKB na głowę ponad 46 tys. USD, podczas gdy zachodni Europejczycy dwie trzecie, trzy czwarte tego poziomu – bierze się z tego, że ci drudzy mają więcej czasu wolnego. Jeśli ten czas teraz wycenić i dodać do posiadanych pieniędzy, to okaże się, że różnice w standardzie życia w dużym stopniu zanikają. I to proponuję w ZIP.

Ale nie tylko. Jeśli teraz jeszcze wycenić wartość środowiska naturalnego, w którym żyjemy – odpoczywamy i pracujemy – to obraz dalej się zmienia. Akurat tym razem, w ujęciu porównującym sytuacje po obu stronach północnego Atlantyku, bardziej na korzyść Amerykanów. A wartość środowiska naturalnego rośnie i nadal będzie rosła. Ludzie niedługo będą dodawać cenę zieleni trawy i świeżości powietrza, śpiewu ptaków i zapachów kwiatów do pieniędzy,

do swoich dolarów i euro, złotych i rubli, funtów i jenów, które zarabiają i wydają. Może wciąż jeszcze to się nie śni ekonomistom „głównego nurtu”, ale niektórzy już zaczynają to dostrzegać. I podejmowane są już metodologiczne próby sprowadzenia takich założeń na grunt praktyczny. W *Wędrującym świecie* podejmuję próbę pokazania, na czym ma polegać ta metoda i jak, mniej więcej, taką „pomyślność” w sposób zintegrowany można byłoby szacować. **Jest to wielce skomplikowane, zwłaszcza że indeks zawiera także wycenę innych elementów sytuacji społeczno-gospodarczej i kulturowo-politycznej związanej z jakością rządzenia, stanem kultury, subiektywnymi ocenami społeczeństwa.**

Wracając do PKB, to współcześnie żyjemy w okresie bardzo szybkiego wzrostu gospodarczego. Nie mówi się już o żadnych „tygrysach” ani „cudach gospodarczych” jak pokolenie czy dwa temu – a w przypadku naszego kraju nie tak dawno, bo w czasie realizacji *Strategii dla Polski* w latach 1994-97, kiedy to PKB na mieszkańca skoczył aż o 28 proc. – choć połowa ludzkości żyje w krajach z około 7-proc. tempem wzrostu PKB. Od razu trzeba zaznaczyć, że zdecydowana większość tej części ludzkości to liczące ponad 1,3 miliarda mieszkańców Chiny i ponadmiliardowe Indie. W sytuacji zerowego wzrostu produkcji wszędzie indziej na świecie, i tak światowy produkt globalny rośnie o 2 proc. tylko dlatego, że rośnie on o ponad 10 proc. w Chinach i 9 proc. w Indiach. Skoro w tym roku światowa produkcja zwiększa się w sumie o jakieś 3,7 proc., to aż w 30 proc. jest to wkład Chińczyków i Hindusów, bo to te dwa najbardziej ludne kraje, z 2,3 miliarda ludności, przesądzają o dynamice świata.

W czasach, dla których mamy w miarę „twarde” dane statystyczne, czyli od lat stu kilkudziesięciu, tak wysokiego tempa wzrostu PKB na mieszkańca Ziemi, jakie mamy przeciętnie w ciągu ostatnich pięciu lat, nie było nigdy. Być może, że to jest w ogóle okres najszybszego tempa wzrostu w dzie-

jach, od ich zarania. Stoi jednak pytanie, czy da się je utrzymać? A ponadto czy warto, skoro rzecz nie we wzroście ilościowym mierzonym PKB, lecz w towarzyszących mu zmianach jakościowych odzwierciedlanych w ZIP?

Niepewna przyszłość

W ostatnim i zarazem najdłuższym rozdziale książki *Wędrujący świat* piszę o dwunastu Wielkich Sprawach Przyszłości. Tak właśnie – dużymi literami: W, S, P. Tutaj rzut oka tylko na trzy wielkie klasy problemów.

Kultura

Świat i ludzkość stoi w obliczu dramatycznego, a zarazem fascynującego od strony implikacji praktycznych wyboru: czy teraz, w wieku XXI i następnych – powędruje raczej w kierunku na podobieństwo wspańiałego sukcesu, jakim była amerykanizacja podczas ostatnich dwóch, trzech stuleci? Czy też przydarzy się raczej to, co niektórzy określają jako zderzenie cywilizacji, i ludzie raz jeszcze „skoczą sobie do gardeł”? – w przenośni lub dosłownie.

Amerykanizacja doprowadziła do tego, że poprzez słynny tygiel kulturowo-etniczny – przy olbrzymiej konfrontacyjności zjawisk i konfliktogenności procesów z nim się kryjących – wyłonił się w rezultacie długofalowego rozwoju najbardziej gospodarczo rozwinięty wielki kraj: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Powstało jedno państwo z jedną gospodarką narodową, jedno społeczeństwo i jedna kultura, choć jakże bogata w swojej heterogeniczności, na której głównie budowano i tworzono, a mało rozbijano i niszczone. Jest tam jeden język, choć przy różnych okazjach i w wielu miejscach często słyszy się także inne, ale ten jeden najważniejszy stał się niejako po drodze współczesną *lingua franca*. Jest tam jeden pieniądz, i jeden prezes banku centralnego użera się z jednym ministrem finansów. A przecież niewiele brakowało, by stało się

coś innego. Wystarczyło tylko, by okoliczności zbiegły się w nieco inną konfigurację i już nie przetoczyłaby się masa krytyczna procesu, który ukształtował USA.

W ich miejsce mogło być pięćdziesiąt krajów z wieloma językami. Mielibyśmy biedną hiszpańskojęzyczną Florydę, może trochę wyżej rozwiniętą francuskojęzyczną Luizjanę, dalej na północnym wschodzie byłyby anglojęzyczna Pensylwania, a na północnym zachodzie Indianie Dakota w swoim niepodległym państwie mówiliby nadal w języku Dakota, bo nie daliby się wyciąć białym. Król Kamehameha, z numerkiem białym. Król Kamehameha, z numerkiem chyba już dziesiątym, rządziłby w pięknym i niezawisłym polinezyjskim królestwie Hawaje, a Alaska byłaby niepodległym państwem z oficjalnym językiem rosyjskim, i kolorowych cerkiewek byłoby tam dużo więcej, niż jest. Mielibyśmy rozległy obszar porozdzielany taryfami celnymi, z pięćdziesięcioma walutami, w którym pięćdziesięciu ministrów finansów użerałoby się z prezesami pięćdziesięciu banków centralnych na temat pięćdziesięciu kursów walutowych i pięćdziesięciu stóp procentowych swoich pięćdziesięciu narodowych walut.

Z drugiej strony na południu kontynentu inaczej zbiegły się okoliczności, uniemożliwiając powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Południowej, choć przecież dwa wieki temu było to zupełnie prawdopodobne, nie mniej niż zwieńczone powodzeniem powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Gdy w końcu 1830 roku umierał Simón Bolívar, ten wielki *Libertador* powiedział: *Trzech było głupców w dziejach ludzkości – Jezus, Don Kiszot i ja*. Jezus, wiadomo: zmarł męczeńską śmiercią, żeby odkupić ludzkość od grzechu, a tu przez dwa tysiące lat ludzie nadal grzeszą. Don Kiszot, wiadomo: symbol, bo wierzył w iluzje, choć – jak mu się zdawało – miał wizję. A Simón Bolívar marzył o Gran Columbia, olbrzymim, niepodległym, wyrosłym z post-iberyjskiego kolonializmu państwie i narodzie, na obszarze obejmującym mniej więcej dzisiejszą Panamę, Wenezuelę, Kolumbię oraz



Maria Kiesner

część Peru, Ekwadoru i Boliwii. Marzyło mu się coś na kształt jednej „gospodarki narodowej”, w której jeden minister finansów użerałby się z jednym prezesem banku centralnego na temat jednego kursu jednej waluty i wysokości jednej stopy procentowej. Mogło powstać potężne państwo, opierające się o jedną kulturę, religię, język. Nie powiodło się i Gran Columbia rozpadła się jak domek z kart, wraz z odejściem Bolívara po zakończeniu jego ziemskiej wędrówki. Nie udało się, bo tak przesądziła koincydencja okoliczności geopolitycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturowych.

Równowaga

A dokładniej nierównowaga – to drugi wielki problem. Nierównowaga ma wiele aspektów, ale tu tylko o finansowym i handlowym. Świat jest gospodarką zamkniętą, gdzie wywóz równa się przywóz, eksport równa się import, plus równa się minus. Na świecie nie ma ani nadwyżki, ani deficytu w handlu czy bilansie obrotów bieżących. Ale ten świat – tak bardzo zintegrowany i współzależny wskutek toczącej się globalizacji – wciąż pozostaje zlepkiem blisko dwustu gospodarek narodowych. I każda

z nich ma saldo rachunku obrotów bieżących i saldo handlu. Nigdzie, chyba że dosłownie przez mgnienie oka, nie równa się ono zeru. Każdy ma jakieś odchylenie *in minus* lub *in plus*, przy czym do pewnego poziomu różnice te mogą być akceptowane i o niczym złym nie świadczą. Czasami świadczą wręcz o czymś dobrym – w zależności od tego jak są finansowane w przypadku deficytów, albo jak są wykorzystywane w przypadku nadwyżek. Jednakże gdy dodać dla wszystkich krajów świata, czyli dla wszystkich gospodarek wciąż narodowych, wszystkie deficyty i nadwyżki na rachunku obrotów bieżących, to superwskaźnik tak zagregowanej wielkości zrelatywizowanej do wartości światowej produkcji, wynoszącej według rynkowych kursów około 54 biliony USD, oscyluje wokół 6 proc. Świat jest w stanie głębokiej nierównowagi.

Oczywiście, inny jest sens ekonomiczny, inne są przyczyny i konsekwencje deficytów, inne nadwyżek. Gdy jednak odchylenie od równowagi jest zbyt duże, dochodzi do kryzysu. Ostatnio Stany Zjednoczone się potknęły, bo nie potrafiły inteligentnie – poprzez przebudowanie wartości, reinstytucjonalizację i zmiany polityki – zmniejszyć skali nierównowagi *ex ante*. Czynią to już *ex post* gdyż spada deficyt, zwłaszcza na rachunku obrotów bieżących do poziomu około 5 proc., choć jeszcze niedawno sięgał 7 proc. Ale teraz jest to już bardziej kosztowne, niż mogłoby być przy wyższym poziomie strategicznej roztropności, wykazanej *ex ante*. I teraz też więcej cierpią inni, ze względu na współzależność gospodarek w epoce globalizacji.

Zasoby

To trzeci wielki kompleks zagadnień związanych z niepewną przyszłością. Widmo krążące nad światem – widmo wyczerpywania się zasobów będących podstawą nie tylko wszelkiego gospodarowania, ale po prostu życia – coraz bardziej daje się we znaki. Ten aspekt walki o przyszłość dotyczy także dyskusji o ocieplaniu się klimatu

i ogólnej dewastacji naturalnego środowiska. Przy tym wszystkim jedni powiadają: zasoby są niewyczerpalne, przecież zawsze coś odkryjemy. Inni mówią: jakie ocieplanie? To jest po prostu normalna przyrodnicza faza tzw. małego ocieplenia, które następuje po tzw. małym oziębieniu.

Prawda jest taka, że niezależnie od cykli geologicznych i przyrodniczych mamy obiektywnie do czynienia z ocieplaniem się klimatu, wskutek gospodarczej aktywności człowieka z wszystkimi wynikającymi stąd zagrożeniami. To jest ewidentne. Problem polega na tym, że skala jakościowych zmian nie jest dostrzegana, nawet jeśli przyglądać się temu przez czas życia całego pokolenia. Gdy temperatura podnosi się zaledwie o 0,05°C średnio rocznie, to bywa to niezauważane nawet przez wiele lat.

Co zaś do zasobów, to ich część z natury jest nieodnawialna w czasie historycznym. A ten geologiczny nie nam jest dany. Rzecz w tym, że zasoby przetrzebiane są stopniowo. A jest to tak poważne, że kontynuacja dotychczasowego modelu ilościowej ekspansji gospodarczej jest niemożliwa.

Aby doprowadzić poziom produkcji Chin do tego, którym cieszą się bogate Sta-

ny Zjednoczone, trzeba byłoby zwiększyć zużycie materiałów, w tym nośników energii, aż 12-krotnie.

Gdyby tylko chcieć dojść z przeciętnego poziomu PKB na mieszkańca Ziemi do poziomu północnoamerykańskiego, to przy obecnej materiało- i energochłonności produkcji byłyby potrzebne zasoby trzech kul ziemskich. Braku dwu z nich nie załatwią dalsze odkrycia istniejących, ale wciąż jeszcze nam nieznanych bądź technicznie niedostępnych złóż na tej jednej jedynej Ziemi.

Nauka i postęp techniczny wiele problemów rozwiążą – jak nie za jedno pokolenie, to za cztery, jak nie za cztery, to za dziesięć – ale i tak zasobów nie starczy.

Zbliżamy się do twardej ściany nieuchronnego wyczerpywania się nieodnawialnych zasobów, z którą zderzenie będzie wielce bolesne dla ludzkości. I nie zmieni tego stanu rzeczy także przyspieszający znowu w obliczu kryzysu surowcowego i energetycznego postęp techniczny, w tym przesuwanie się w stronę korzystania w większym stopniu z odnawialnych źródeł energii – wiatru, wody, słońca, biomasy. To pomoże, ale nie rozwiąże problemu niedostatku zasobów.



Bibliografia:

- 1) Kołodko G.W., *Polska z globalizacją w tle. Instytucjonalne i polityczne aspekty rozwoju gospodarczego*, Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa, Toruń 2007, s. 213.
- 2) Kołodko G.W., *Wędrujący świat*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.